

# *Czas miedzi*

Slobodan  
Šnajder

przełożył  
Siniša Kasumović



Seria wydawnicza  
Wschodni Express



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na

[www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wtedy zesłał Pan na lud jadowite węże,  
które kąsały lud, i wielu z Izraela pomarło.

Przyszedł więc lud do Mojżesza i rzekli:

Zgrzeszyliśmy, bo mówiliśmy  
przeciwko Panu i przeciwko tobie.

Módl się do Pana, żeby oddalił od nas te węże.

I modlił się Mojżesz za lud.

I rzekł Pan do Mojżesza: Zrób sobie węża  
i osadź go na drzewcu.

I zrobił Mojżesz miedzianego węża,  
i osadził go na drzewcu.

A jeśli wąż ukąsił człowieka, a ten spojrzał  
na miedzianego węża, pozostawał przy życiu.

IV Księga Mojżeszowa, 21. 6–9

H



D



B



F



3

Slobodan Šnajder

*Czas miedzi*

Przełożył

Siniša Kasumović

Warsztaty Kultury / Lublin 2024

*Dla ojca i dla matki*



## ***Wstęp do wydania polskiego***

Czy wiedziałem więcej o Polsce niż mój ojciec, który wbrew swojej woli został rzucony na front wschodni podczas II wojny światowej? Z pewnością do Polski podróżowałem chętnie – i z własnej woli.

Pierwszy raz odwiedziłem Polskę jako bardzo młody człowiek, gdy byłem członkiem jury Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Studenckich. Był 1969 rok. Jeszcze trwały strajki z '68, które z amerykańskich kampusów przeniosły się na uniwersytety europejskie. Wschodnie i zachodnie konteksty były bardzo mocno podzielone, a więc tym samym różne.

Przy tej okazji obejrzałem kilka studenckich przedstawień teatralnych – wszystkie mocno polityczne. Poznałem Grotowskiego – w tamtym czasie guru nowego teatru. Jego teatr był inny.

Byłem wówczas redaktorem czasopisma o teatrze (jego polski odpowiednik stanowił „Dialog”). Jeden z numerów naszego czasopisma, poświęcony właśnie polskiemu teatrowi, przygotowywaliśmy wspólnie z kolegami z Polski.

To wszystko jednak i tak było mało w porównaniu z tym, czego chciałem. Nawet gdy jako dramaturg jeździłem do Polski, aby oglądać przedstawienia wystawiane na podstawie moich sztuk.

Po upadku muru Polacy już nie mieli kłopotów z wyjazdami. My nigdy ich nie mieliśmy, nawet we wczesnych latach mojej młodości. Ale po upadku tego nieszczęsnego muru kontaktów stawało się jakby coraz mniej, podobnie jak samej chęci utrzymywania znajomości. Niby dlaczego mielibyśmy być dla kogoś atrakcyjni? Aby w wyniku porównania wyszło, że Polska w okresie transformacji poradziła sobie lepiej niż nasze państwa

powstałe po rozpadzie Jugosławii? Wszędzie w Morzu Śródziemnym może się człowiek wykąpać, dzisiaj to nie sztuka, chociaż coraz droższe się staje zaspokajanie tęsknoty za ciepłym morzem.

Pozostał we mnie podziw dla Polski i dla jej historii. Dużo pracowałem nad materiałami o historii Jugosławii i Chorwacji, więc od zawsze byłem przekonany, że nasza historia jest najgorsza na świecie. Kiedy jednak śledziłem losy Kempfa i wchodziłem w historię Polski (proszę mieć na uwadze, że w moim wypadku, tak jak w wypadku mojego ojca, był to punkt widzenia obcokrajowca), musiałem przyznać, że w Europie chyba nie było trudniejszej historii niż historia Polski. Nie muszę lubić idei „Polska Chrystusem narodów”, ale muszę przyznać, że Polskę próbował ukrzyżować i zgwałcić każdy, kto tylko miał okazję. A było ich wielu.

W okresie od strajków gdańskich do upadku obozu socjalistycznego (u nas to przebiegało inaczej) wszyscy moi przyjaciele należeli do Solidarności. Wiem, że stary Kempf uważnie śledził to, co się działo w Polsce. Po tym jak uciekł z lazaretu SS, miał kontakt z osobami z jednostki, która go przygarnęła.

Kilka razy zjawiał się w Krakowie. Kiedyś nawet został zaproszony do Moskwy na jakąś uroczystość, ale nie zdecydował się na podróż.

Ojciec zawsze miał markowe aparaty fotograficzne. Optyka firmy Zeiss, najlepsza na świecie, i to w Jenie, która wtedy była częścią imperium sowieckiego. Jeden z aparatów nosił nazwę Kijów.

Niedawno w cudownym Krakowie kupiłem piękne szachy – dwa razy taki sam zestaw, na tym samym targu. Jeden zestaw podarowałem człowiekowi, z którym w ostatnich 20 lat najczęściej grałem i z którym nie zamieniłem ani jednego słowa. Po prostu graliśmy na tej polskiej szachownicy, polskimi figurami.

Ten człowiek niestety zmarł. Nie wiem, gdzie dzisiaj znajdują się te szachy. Nie wiem, gdzie leży mój przyjaciel. Nawet siebie nie jestem pewien.

„Reszta jest milczeniem...”.

*Slobodan Šnajder, maj 2024*

I.

*Transylvania*

## ***Kolorowy flecista z Hameln***

W Niemczech trwa głód.

Spadło dużo deszczu, więc wszystko zgniło. Ziemiaki jeszcze się nie stały najlepszymi przyjaciółmi biedoty. Niektórzy jednak je uprawiają ze względu na ładne kwiaty. Burze powaliły zboże. Wojny też zrobiły swoje. Żołnierz nie sieje, ale jeść musi. Stodoły stoją puste, bydła nie słyhać, więc domy piszczą z głodu. Biedota nie ma przyjaciół.

W jesienne wieczory mężczyźni siadają przy lampach naftowych, milczą, wypuszczają dym z fajek, a kobiety kroją kapustę. Do jedzenia jest jedynie kapusta, której wszyscy mają już po dziurki w nosie.

W jeden z takich wieczorów w okrągłe światło lampy naftowej wstąpił obcy. Nikt później nie mógł sobie przypomnieć, kto go wpuścił.

Nie zastukał. Był średniego wzrostu lub ciut poniżej. Gdy zdjął kapelusz i uklonił się głęboko, błysnęła łysina. Miał pysk – dokładnie tak. Miał stożek, a nie – nos. Do tego wąsy. Chociaż mógł to być nieco wydłużony ludzki profil, wszyscy się zaklinali, że był to pysk. Ludzie zawsze z łatwością oczerniają obcego. Jeszcze przed zakończeniem wojny nie widzieli w tej wsi nikogo, kto by się w niej nie urodził. Co to było? Pysk czy twarz z silniej zarysowanym nosem? Tej kwestii nie rozwiązano, ale istniała całkowita zgoda co do tego, że w obcym było coś, od czego dostali gęziej skórki. Chociaż sami nie wiedzieli dlaczego. Do tego pojawiły się dreszcze, bo nie był on zwykłym człowiekiem.

Głodowanie jest nudne. Obcy wniósł jakiś niepokój pod ten dach. Czy to dobrze?

Jeden z ważniejszych we wsi, a na pewno z większych, złapał za siekierę, która stała za piecem.

– Nie widzisz, że ten pan chce nam coś powiedzieć?! – Ktoś chwycił go za rękę.

Nieznajomy zrobił niski ukłon w stronę orędownika i wydmuchał nos (niektórzy z obecnych do końca życia się upierali, że zwinął ogon i schował go do spodni).

– Szanowni państwo...! – zaczął. – Chciałbym się do was zwrócić w imieniu gospodarza, którego posłusznym sługą jestem. Wszystko bym zrobił dla niego. Gdyby powiedział: „Idź utop się w potoku”, natychmiast bym to zrobił. Mój gospodarz jest zaznajomiony z waszymi kłopotami. Przychodzę z jego polecenia, aby zaoferować wam pomoc.

Kobiety zaczęły się wychylać spoza stert pokrojonej kapusty, wreszcie podeszły i usiadły na podłodze.

Nieznajomy ukłonił się raz jeszcze.

– Proszę się tylko rozejrzeć: bieda i kłopoty. W spiżarniach niczego nie ma. Puste stoły. To, co jeszcze chodziło, zostało zabite. A z drugiej strony góry dzuma wdarła się do wsi. Wiem, że byli tacy przede mną, którzy przychodzili z tym samym zadaniem. Wiem, że są tacy, którzy podróżują po ziemiach niemieckich i porywają dzieci, a później oskarża się o to Cyganów. Wszyscy na ziemiach niemieckich słyszeli o kolorowym fleciście, który podle oszukał mieszkańców Hameln, w Dolnej Saksonii: zabrał im dzieci i sprawił, że one zniknęły gdzieś w górach. To ciężkie oskarżenie...! – Tu obcy wykonał ręką jeden ze swoich ceremonialnych ruchów. – Szanowni państwo! Czy ktokolwiek z was słyszał, że góra może tak się rozdziawić, jak wilk rozdziawia gębę?

– A czy ktoś kiedykolwiek słyszał, żeby szczur mówił? – przerwał mu najstarszy mieszkaniec wsi, który nawet na łożu śmierci twierdził, że obcy był szczurem, bardzo dużym szczurem, czymś w rodzaju nadszczura.

– Ktoś musi mówić, bo wy milczycie i cierpicie! Gdyby wśród was był prawdziwy człowiek, na pewno by zrozumiał, co wam usiłuję powiedzieć: potrzebujecie wodza!

– My wiemy, że w tym Hameln koło Hanoweru jakiś hochsztapler obiecywał, że pozbędzie się szczurów, a potem muzyką wyciągnął dzieci i słuch po nich zaginął! Powinni byli zatłuc go siekierą!

– To smutna historia – skomentował obcy. – Każda historia ma dwa zakończenia. Jedno jest do opowiadania na koniec ciężkiego dnia, po oraniu i po kopaniu, drugie zakończenie jest na dzień boży.

– No to zdradź nam pierwsze zakończenie.

– Oczywiście: śmierć. Umrzeć możesz gdziekolwiek.

– A zakończenie na niedzielę?

– Transylwania.

Nikt z obecnych nigdy nie słyszał o tej krainie.

W pokoju zapadła cisza, która zaczęła się rozprzestrzeniać również pod inne dachy. Cała wieś słuchała. Ucichły wszystkie rozmowy.

– Proszę państwa, proszę o uwagę! Proszę mi nie przerywać, bo stracę wątek. A jeżeli stracę wątek, to wy też będziecie stratni.

Ten, który jako pierwszy naskoczył na niego, znowu złapał za siekierę.

Obcy się uklonił.

– Szanowni państwo! Najpierw posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia, a potem możecie mnie dobić. Bo zabić obcego zawsze łatwo. Ale po co, skoro przynoszę dobre wiadomości, nową ewangelię?!

– Takich są tutaj całe tabuny! Na targowisku to za monetkę możesz od zająca lub od brodatej kobiety kupić dobrą wiadomość!

– Ale wy niczego nie wiecie, dlatego nie wiecie również, gdzie na was czyha szczęście. Za siedmioma górami, które w miarę dobrze znacie,

rozciągają się kolejne – i kolejne, których nie znacie. Między nimi biegnie rzeka, którą, przy odrobinie szczęścia, można bezpiecznie płynąć niewielkim kosztem. Gdy góry zostawi za sobą, rzeka płynie przez równiny. Ziemia jest czarna i tak urodzajna, że w tydzień po tym jak rzucisz na nią siew, możesz zbierać żniwa. To jest po tamtej stronie wielkich lasów, które nie należą do nikogo, więc z powodu wiązki drewna nikt was nie wychłoscze. Tam, daleko, jest Transylwania. Tam jest życie dla was. Tutaj życia dla was nie ma. Tutaj zdechniecie ze szczurami. Nie potrzebujecie flecisty z Hameln, aby stracić młodość – umrzecie albo z głodu, albo z powodu dżumy, albo dobiją was moczymordy w mundurach.

Zapadła cisza. Słychać było jedynie deszcz, który nie wiadomo po raz który tego głodnego roku lał jak z cebra.

– Jeżeli ziemia jest taka dobra, to dlaczego nikt na niej nie pracuje?

– Tej ziemi ledwo potrzebny jest pług.

Cicho pod dachem, nawet deszcz jakby się uspokoił.

– Jeżeli ziemia jest taka dobra, to na pewno nie jest niczyja.

Obcy kolejny raz się uklonił.

– Oczywiście. Wszystkie dobre rzeczy na tym świecie mają właścicieli.

– A mnie się wydaje – wtrącił ktoś – że ten gość zbiera do wojska! Najlepiej – zniżył głos do szeptu – wyprowadzić go i dotłuc za domem!

I chociaż szept dochodził zza ściany kapuścianych głów, obcy go usłyszał. Nie mógł nie usłyszeć.

– Pozwólcie mi przynajmniej do końca opowiedzieć. Mój gospodarz ma wiele posiadłości w Transylwanii. Tam nie ma głodu, nie ma zimy.

– Jeżeli ziemia jest taka urodzajna, to dlaczego twój gospodarz sam nie wyjdzie na pole i nie zacznie spluwać po nim?

W tym momencie niektórzy mieszkańcy wsi zaczęli wierzyć, że w tym, co mówi obcy, jednak jest nieco prawdy.



Pod dachem utworzyły się dwie grupy. Jedni byli za tym, aby obcego zatłuc na miejscu, drudzy – aby mu dać okazję. Bardziej mądrzy wycofali się do innego pomieszczenia, aby się zastanowić, co zrobić.

– Szanowni państwo...! – odezwał się obcy, gdy mężczyźni odeszli pod ścianę z kapuścianych głów. – Widzę, że jesteście bardzo podzieleni. Dlatego macie tak wielkie kłopoty. Dlatego kiszki wam marsza grają. Potrzebujecie wodza. Nawet takiego, którego na miejscu zabijecie. Bo każdy będzie lepszy niż żaden. Ja wam nie pomogę, bo sam jestem sterowany. Ale lepszego od mojego gospodarza nie znajdziecie, o tym was mogę zapewnić. Ja też lepszego nie znalazłem. Czy teraz mogę się z wami pożegnać?

Pozwolono mu, bo głosowanie pozostało nierozstrzygnięte.

– Bądźcie gotowi! Gdy przyjdzie czas, dowiecie się więcej! A wtedy znowu was nawiedzę!

Obcy zniknął.

Wszyscy się zaklinali, że nie przez drzwi. Wydaje się, że zniknął w dziurze w ścianie, której wcześniej nikt nie widział. Można uznać, że był jak myśl z przeszłości. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że nieznajomy przyszedł z przyszłości.

Myśli, nawet te najgorsze, nie znają przeszkód. Zazwyczaj niczego nie tłumaczą, tylko przechodzą przez ściany. Podróżują szybko.

„Znowu was nawiedzę!” – słowa, którymi nieznajomy się pożegnał, jeszcze jakiś czas rozbrzmiewały w uszach mieszkańców.

Nie wiedzieli, czy to była groźba czy obietnica szczęścia. Transylwania...? Kraina za siedmioma górami...? Z drugiej strony lasu...? Według opinii najmądrzejszych mieszkańców to musiało być bardzo daleko, gdzieś na brzegu kuli ziemskiej. Z tego brzegu nietrudno byłoby skoczyć w nicość, ale gdzie wtedy czekałoby szczęście? Utopiliby się, tak

jak potopiły się szczury z Hameln. Co prawda tylko po to, aby nieproszeni goście pojawili się w innym mieście, aby całe to oszustwo mogło się raz jeszcze odbyć. Łobuzem był ten flecista z Hameln, cwany lis na cztery nogi kuty. A młodość jest zawsze tak łatwowierna, że nikogo niczego nie nauczysz.

Saga o nieznanym – być może szczurze, który mówi ludzkim głosem – z prędkością myśli rozprzestrzeniła się po niemieckich ziemiach. I równie szybko zniknęła, gdy tylko w drzewach owocowych zaczęły krążyć soki, gdy tylko wyrosło młode żyto.

### ***Werbownik cesarzowej***

Nastał kolejny rok głodu – 1769 od narodzin Zbawiciela. Głodują Kempfowie, więc głoduje też Georg Kempf – młodzieniec, który urodził się w ich gnieździe, a którego nikt nie pytał, w którym gnieździe chce się urodzić. Był obrotny i przystojny, złota rączka. Jakiś czas uczył się u kołodzieja, ale wrócił do domu ojca, ponieważ na roli była potrzebna dodatkowa para rąk. Dlatego zaledwie połowicznie poznał rzemiosło. I chociaż nadszedł czas na ożenek Georga, tej jesieni nie odbył się żaden ślub. Bo co gościom podać na stołach?

Kempfowie postanowili jednak wysłać dziewosłęba<sup>1</sup> do jednej z wiejskich dziewczyn. Nie była najbrzydsza, miała nawet jakiś posag. Ale młodego Kempfa coś ciągnęło w świat. Wbił sobie do głowy, że został stworzony do czegoś lepszego.

Lało jak z cebra, gdy nieznanomy podróżnik zastukał do drzwi. Gdyby nie deszcz, nie wpuściliby go o tej porze, nawet jeżeli psy całkowicie przestały ujadać. Zresztą nieznanomy był bardzo uprzejmy, a jeszcze lepiej prezentował się jego mundur urzędnika cesarzowej.

Nieznajomy się uklonił i od razu przedstawił:

– Wysyłają mnie z Wiednia! Przychodzę z polecenia jej mości cesarzowej, niosę papiery wiedeńskiej kancelarii!

Wystawili przed nim, co mieli, a było to prawie nic. Nie przestraszyli się, bo w wielu okolicznych domach odbyła się w ostatnim czasie podobna wizyta.

Przybysz odsuwa miszkę, mówi, że nie jest głodny. Ale oni mu mówią, że są, i to strasznie. To widać.

– Pod tym dachem jest bieda i jest nieszczęście. Ile macie morgów?

– Mało... – odpowiada stary Kempf. – A to, co zasiejemy, zادهpczą nam gospodarze, gdy polują na zające.

– To nie bądźcie zającami. Bądźcie lisami i wilkami. Zróbcie coś ze swoimi żywotami. To ostatnia chwila.

– Dlaczego? Czy znowu zza góry przyszła dzuma? Czy na dworze szykują wojnę? Przeżyjemy!

– Może i przeżyjecie, ale dlaczego nie mielibyście pożyć? Po co gnąć tutaj, cierpieć braki, znosić samowolę gospodarzy... Czy atakują wam kobiety?

– Nie. – Zmarszczył się stary Kempf. – Teraz nie.

– Być może hrabia już nie ma siły.

– Za chwilę chyba umrze. Ale potem z Paryża nadciągną jego synowie i wszystko znowu się zacznie.

Wieśniacy milczą.

– A nowa wojna jest szykowana...

– Tylko nie to! – krzyknął stary Kempf.

– Oto i dobra wiadomość, oto nowa ewangelia: miłościwa cesarzowa Teresa chce zaludnić swoje ziemie. Ona zna wasze kłopoty.

– W to, że ona zna kłopoty wieśniaków, nie odważymy się uwierzyć.  
No więc jak się ma cesarzowa?

– Smutna. Jak to cesarzowa.

– Tego jeszcze nie słyszeliśmy, że cesarzowa jest smutna...

– A jak by wam było, gdybyście musieli oglądać pola z chwastami, puste stodoły, zgliszcza tam, gdzie kiedyś stały domy?

– No, byłoby nam smutno...

– I dlatego ona jest smutna.

– Pan twierdzi, że ziemia jest dobra, że ją się łatwo orze i że jest żyzna.  
To dlaczego nikt jej nie uprawia?

– Nareszcie ktoś zapytał o coś mądrego. Do wczoraj uprawiali ją Turcy.

– A teraz już nie chcą?

– Może by i chcieli, ale ich wygnano. I teraz nie ma tam nikogo. Dawno temu Eugeniusz Sabaudzki, jasnie pan wojskowy, świętował tam swoje wygrane. Pola są zarośnięte, dachy – zniszczone. Nawet cmentarze znikają. Te ziemie są teraz własnością cesarzowej. Zostańcie jej kolonistami!

– A dokąd to ja mam się udać... – mruknął ojciec Kempf. – Stary worek pełen kości...

– Niech młodzi pójdą. Jeżeli im się uda, to i was pociągną.

– Jakby słudzy hrabiego usłyszeli, co tu się pod tym dachem mówi, toby nam skórę złoili!

– Cesarzowa będzie nad wami czuwała. To najmądrzejsza władczyni, jaką świat do tej pory widział. Podróżować będziecie wielką rzeką, która się nazywa Dunaj, a to jest możliwe tylko przy niewielkiej obsadzie. Koszt przewozu jest po naszej stronie.

– Gdzie jest ta ziemia? – odezwał się w końcu młody Kempf. Już na wpół przekonany, dał się prowadzić werbownikowi.

– Za siedmioma górami, z tamtej strony wielkich lasów. Transylwania.

– Tam jest kraina mlekiem i miodem płynąca? Tam jest ziemia Kanaan? Ziemia obiecana?

– Ja wam nie obiecuję miodu i mleka, a ziemie nazywają się tak, jak się nazywają. Ale gwarantuję, tak jak mnie w służbowym ubraniu oddanego urzędnika cesarzowej widzicie, że tam, dokąd chcę was zaprowadzić, ten, który będzie pracował w poczcie czola, a i żyje uczciwie, pożyje dobrze i przynajmniej w umiarkowanym dostatku. Wiedeń każdemu koloniście daje ziemię pod dom, działkę, pole, pług i krowę... Tak jak wam powiedziałem: zapłaci także za spław... Na każdą nową wieś przypada i ksiądz.

– Ziemię nam dadzą, pług i krowę?! – krzyknął młody Kempf. Swoją krowę już miesiąc temu zjedli. – I księdza?!

„Krowa jest dużo ważniejsza od księdza” – pomyślał.

– I to jaką ziemię! Spluniesz do niej, a tydzień później – proszę, trzeba kosić, trzeba zbierać. Przez pięć pierwszych lat władza przymknie oko na podatki, aż koloniści staną na nogi. To znaczy, że nie będziecie wzywani na szarwark<sup>2</sup>.

– Ktoś jeszcze wierzy w takie cuda? – zaprotestował stary Kempf.

– Do wiary potrzebna jest siła, panie kochany.

Werbownik cesarzowej wstaje.

– Dokąd, proszę pana? Po tym deszczu?!

– Do waszych sąsiadów. Nie ma nic lepszego, niż sąsiada zakwaterować obok sąsiada.

– Ale my jeszcze nic nie powiedzieliśmy! – zaprotestował stary Kempf.

– Rozejrzyjcie się. Oceńcie, co was tutaj czeka, a co mogłoby tam czekać. Gdy nadejdzie pora, dowiecie się więcej.

– Gorzej to już chyba być nie może... – podsumował młody Kempf.

Werbownik cesarzowej spojrział na niego jak na swój nabytek. Jego zarobek liczył się w duszach.

Dwa tygodnie po wizycie werbownika cesarzowej Kempfowie po kolacji, o ile tak można nazwać to, co zjedli, siedzą wokół dębowego stołu. Mężczyźni pykają fajki, kobiety obierają kapustę, a dzieci, te kosmate małpki, pod stołem zajmują się tępieniem wszy.

Najbardziej zamyślony jest młody Kempf.

Wieczór mija niemal w całkowitej ciszy. Wyraźnie słychać myszy, które skrobią w ścianie, i szczura, który szaleje w już pustej spiżarni. Szczur właśnie zaczyna tracić wiarę w ludzi, a to dla szczura stan agonalny.

Deszcz pada piąty dzień. Bez przerwy. Czarna chmura zasiadła na dachu domu, jakby dach był siodłem. Za każdym razem gdy chmura się poruszy, na dom i na majątek spadają wiadra deszczu.

Wczorajszy dzień młody Kempf spędził na cmentarzu przy kościele, gdzie Kempfowie są chowani od setek lat. Porozmawiał z księdzem, ale ten niczego mu nie zdradził o werbowniku cesarzowej.

Zaczęli rozmowę o duszy. Młody Kempf pytał, czy to duży grzech zostawić dom rodzinny i wyruszyć w niepewność. Niespodziewanie stary ksiądz mu odpowiedział: „Bóg będzie z tobą wszędzie”.

Poza starym księdzem Kempf nie bardzo miał z kim rozmawiać. Kamienie grobowe, wyprane przez czas, nie odpowiadały. Kempf próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przy stole rozmawiano o tym, skąd Kempfowie się wzięli. Nie, nigdy niczego na ten temat nie usłyszał. Wywnioskował, że musieli wykiełkować tutaj, wokół domu, jak kukurydza czy groszek. Ale to było w złotych czasach, gdy Bóg stąpał po ziemi. Nie tylko istnieli ludzie, którzy kiełkowali na polach, lecz także tacy, którzy tak

wykiełkowali, że i groszku, i kukurydzy mieli pod dostatkiem. Nadmiarowych ust nie było. Ale złote czasy minęły. Potem jeszcze można było znośnie żyć w czasach srebra, jednak wtedy wszyscy zaczęli wojować wzdłuż i wszerz. Wyrzynali się na każdym progu, w ziemię siali nienawiść zamiast ziaren. Żelazne pługi były lepsze od drewnianych, ale miecze lepiej ścinały niż te wykonane z brązu. Ten wyścig pługów i mieczy człowiek przegrał. „Ze wszystkich żyjących istot człowiek zawsze stoi na przegranej pozycji, a postęp chyba nie jest niczym innym niż jego przegrana” – tak młody Kempf rozważał, gdy brodził przez kałuże. Nowy Hezjod ukazał się w Niemczech, ale nie zostawił śladu. Ta książka jest pierwszą i jedyną wzmianką o nim.

Deszcz nadal siąpił, ale w powietrzu czuć było, że okowy zimy odpuszczają. Jeszcze nie był to czas na spacer, Kempf jednak chciał skorzystać z ostatniej szansy i odwiedzić grób praojców. W jego głowie myśli goniły jedna drugą, jakby ta nowa potykała się o tę wcześniejszą.

Gdy wrócił do domu, wszystko na nim było mokre. Resztę dnia drzemał więc na piecu. Kto będzie tutaj chodził za pługiem, jeżeli jego miejsce na piecu stanie się puste?

Wszyscy w domu rozumieli, że coś się z nim dzieje, ale nikt nie odważył się niepokoić go w tym jego półśnie. Można jedynie zakładać, że stanął przed nim szczur i zwrócił się do niego ludzkim głosem. Ale tylko młodzieniec mógł go usłyszeć. To, o czym rozmawiali, nie zostało przekazane.

Mieszkańcy domu długo czuwali. Pracy było mało, więc nie czuli zmęczenia.

Tuż przed północą Kempf zszedł z pieca i mocno uderzył pięścią w stół.  
– Wybieram się do Transylwanii! – krzyknął.

Niespodziewanie stary Kempf się nie sprzeciwił. Nawet powiedział, że dla niego już od kilku dni było jasne, że Georg wyjedzie. Wraz z błogosławieństwem dał mu pistolet skałkowy, który pochodził jeszcze z czasów, kiedy na tych szerokościach dudniła ta wielka wojna złych wspomnień, podczas której katolicy gonili się z luteranami, a jedni drugim robili okropności jak do tej pory niewyobrażalne.

– Gdziekolwiek byś poszedł, musisz wiedzieć, że Bóg jest jeden – powiedział mu ojciec, a Georg pocałował go w rękę. – Bądź uczciwy, uważaj na złych ludzi i na obłąkane kobiety! Unikaj choroby, czcij Boga, nie kradnij, a o nas nie zapomnij!

Matka się wycofała, aby syna przygotować na drogę. Północ już minęła, godziny goniły jedna drugą, posapywały. Nie wiedziała, co synowi przygotować na tak daleką podróż. Co trzeba ze sobą zabrać do Transylwanii? Procę, którą ojciec mu zrobił, gdy był chłopczykiem? Flecik, który sam wystrugał? Wędkę i haczyk?

Trzeba było uciekać nocą, kiedy służący hrabiego śpią, bo spotkanie z nimi i z psami hrabiego mogłoby okazać się fatalne.

Przestało padać, niebo było jasne, a Droga Mleczna – wspanialsza niż kiedykolwiek. Słysząc nawet chrząszcze, chyba po raz pierwszy w tym roku. Naprawdę się pospieszyły.

Głęboko w nocy ruszyła kolumna młodzieńców – niektórzy byli jeszcze dziećmi – z workami na plecach, z walizkami i z torebkami na chleb. Prowadził ich werbownik cesarzowej. Dopiero teraz było widać, że trochę utyka.

Po trzech milach – na wschodzie już paliło się słońce – czekał zaprzęg, który werbownik dla nich kupił. Wspólnym celem pochodu, w którym



Kempf czuł się osamotniony, ponieważ nikogo nie znał, był Ulm – tam niecierpliwie czekała na nich tratwa dobrej cesarzowej.

Przez dwa lub trzy następne tygodnie tratwa ta będzie domem Kempfa na wodzie.

Gdy tylko Kempf opuścił dom, zrozumiał, że z jego wsi jedynie on postanowił ruszyć. Czy decyzja była dobra, czy jednak zła, dopiero miało się okazać.

### ***Praojciec Kempf płynie do Transylwanii***

Kempfa dom na wodzie mieni się kolorami niczym przed kościołem namiot na odpuście. W tym namiocie znajdują się również tacy przedstawiciele gatunku ludzkiego, których celem narodzin na Ziemi jest zadziwiać. Co prawda, nie ma tu kobiet z brodą ani cielęcia z dwiema głowami, nikt krzykiem nie zachwala cudownej maści, lecz jest tutaj Turek – handlowiec, który podróżuje z daleka, aż z Hamburga, gdzie posiada magazyn dywanów, jest tutaj Żyd – polski chasyd, są tutaj luteranie – których nerwowość narasta, w miarę jak tratwa zbliża się do granicy, za drewnianą przegrodą kwiczy prosię... „Ile różnych rzeczy jest na świecie...!” – myśli sobie Kempf.

Turek ma szerokie spodnie z jasnoczerwonego sukna, długi kaftan oraz szeroki pas przeszywany złotymi nićmi, a na głowie – biały turban z fioletowym wierzchem. Kapitan tratwy jest doświadczony, wie, że Turek jest sunnitą i handlarzem. Możliwe, że rozpoznał go właśnie po turbanie. Zielony jest zarezerwowany dla Wysokiej Porty. Janczarscy oficerowie i imamowie noszą inne kolory. Turcy przeważnie stawiają na kolory i na kształty.

Z Turkiem podróżują jego służący. Bez przerwy mu usługują, zwłaszcza kiedy niczego nie potrzebuje. Cały czas są na nogach i śledzą każde jego mrugnięcie. Czasami musi się od nich opędzać jak od natrętnych much. Na tej okropnej tratwie Turek podróżuje do miejscowości o nazwie Vukovar, gdzie zamierza się przyłączyć do karawany. Jego ostatecznym celem jest Sarajewo. Bardzo się dziwi, że Kempf nigdy nie słyszał o sarajewskich kierpcach, które prawie podtyka mu pod nos. Ten młody człowiek posługiwał się językiem, którego w przypływie dobroci można uznać za nieistniejący niemiecki dialekt. Turek w końcu posiadał magazyny w Hamburgu, był majątny i dużo podróżował.

Gdy tylko wyruszyli z Ulm, Turek załatwił, aby prosiak został umieszczony na drugim końcu tratwy, bo jego smród i chrumkanie nie pozwoliłyby Turkowi odpocząć.

Żyd ma na sobie czarny płaszcz, a na nogach – wysokie czarne buty. Ale prawdziwym cudem jest kapelusz – *sztrajmł*, jak nazywają go w Galicji – którego ten chasyd nigdy nie zdejmuje. „Musi być drogi” – myśli Kempf. Oczywiście, że jest, został zrobiony z siedmiu ogonów soboli tajgowych! Kempf słyszał o tym w rodzinnej wsi, tam często można było spotkać wędrujących handlowców, którzy – co do jednego – byli Żydami. Ogonów sobola na głowie tego Żyda nie szło policzyć, a Kempf nie odważył się zapytać. Chasyd siedział ponury na swojej beczce, całkowicie zanurzony we własnym świecie.

Spróbować policzyć te ogony byłoby jak wyliczać mu wszy. Niezbyt ładnie.

Czoło kapitana jest poorane głębokimi bruzdami. Nos kapitan ma wielgaśny, co by wskazywało na trąd. Ale że trędowatemu nie wolno było na rzut beretem zbliżyć się do zdrowego, pewne jest, że nikt by mu nie powierzył tratwy.

Kempf odważył się chłopaka z załogi zapytać o te bruzdy. I jeszcze wspomniał o nochalu kapitana. Usłyszał, że kapitan urodził się taki wymiętoszony, że czoło ma jak chusteczka porzuconej niewiasty, a nos – to od chlania.

Załoga zajmowała się wielkimi wiosłami, które służyły za ster. Wielka rzeka czasami bawiła się tratwą, jakby tratwa była zabawką. Wiosła – jednym z nich sterowało się z wierzchu drewnianej budy pośrodku tratwy – były jedynym sposobem, aby ominąć śmiertelny wir lub inne niebezpieczeństwo, chociażby skałę. Tratwa – ogromne bale drewna przewiązane grubym sznurem – płynęła, zdana na litość rzeki, ku dalekiemu ujściu.

Czasami na brzegu widzieli tratwy ciągnięte przez szkapy. Bolesny widok. Większość współczuła tym nieszczęsnym zwierzętom. Kapitan powiedział, że każdy przeżywa własny los.

– One też są istotami bożymi – mamrotali niektórzy. – Nieładnie tak męczyć bydło!

W jednej chwili z mimiki załogi oraz z twarzy kapitana, która nagle spoważniała, Kempf wyczytał, że płyną na spotkanie z niebezpieczeństwem.

Koszmarem wszystkich, którzy w XVIII wieku płynęli Dunajem do Ulm w dół rzeki, były skały Düppsteiner – w tamtych czasach dwa dni drogi od miasteczka Engelhartszell. Tę nazwę – Düppsteiner – tratwiarze na Dunaju wypowiadali ściszym głosem. A jednak płynęli, bo trzeba było płynąć.

Źródło mówi, że wiosła zostały wciągnięte, a załoga poprosiła podróżujących o to, aby każdy w swoim języku odmówił *Ojcie nasz* lub podobną modlitwę. Bo w tym miejscu straszny wir woła do podwodnego zamku, gdzie rezyduje cesarz Dunaju, a szare skały zagrażają samej tratwie.

Na dnie błyszczący szklany pałac, pośrodku którego stoi ogromny stół. Wokół stołu siedzą: cesarz – wielki sum, a także jego poddani, podczas gdy ryby świecące sporych rozmiarów rzucają blask na tę ucztę. Na stole stoją słoiki – dokładnie takie, w jakich przygotowuje się przetwory owocowe. A w słoikach znajdują się dusze topielców. Niektóre słoiki stoją jeszcze puste. Te pełne dusz cesarz sum pieści dużymi wąsami.

Turek natychmiast rozpościera dywan modlitewny i zaczyna się kłaniać.

Żyd wysyła bardzo pilną wiadomość do swojego boga.

Chrześcijanie głośno odmawiają *Paternoster*.

## Jahwe, Gott, Allah

zostali wezwani, a każdemu z gorliwie modlących się na tratwie przyznano, że jego bóg jest

## JEDYNY.

Tylko Bóg chrześcijański dodatkowo dzieli się na trzy osoby.

Wraz z nadejściem wiru znika odwaga. Siły wystarcza już tylko do szeptu.

*Allahu ekber Wszechmogący Ojciec jedyny Allahu ekber Największy Wszechmogący Ojciec nasz, któryś jest...*

Podobnie jak złotymi lub srebrnymi metalowymi nićmi tka się na suknie z wody, tutaj bardzo ciemnej, prawie czarnej, tak ten płynący Babilon wypisuje swoje przekazy mieszanką arabskiego, południowoniemieckiego, hebrajskiego, polskiego. Nagle tratwa maleje, wygląda jak bezwładny wiór, którym rzuca straszna siła... Wir ją obraca jak świątynię pod znakiem krzyża, jak synagogę, jak meczet.

Wydaje się, że ten babiloński zamęt nie będzie przeszkadzał Jedynemu. Ci ludzie nie będą budować wieży babilońskiej, aby Jedyne go poślaskotać po stopach, tylko na końcu podróży, gdziekolwiek ma to być, rozsieją się

jak nasiona dmuchawca. Podróżnicy nie zwracają się jeden do drugiego, lecz bezpośrednio do Boga na wysokościach, więc dlaczego on miałby im mieszać języki?

Bóg ich usłyszy, a potem – kapitana i jego chłopców. Oni już się nie modlą, tylko mocno trzymają za kawałki drewna, za beczki, za skrzynie. Oni już nie wierzą w Boga Ojca. Dobrze wiedzą, że jeżeli wir ich wciągnie lub prąd zmusi tratwę do kolizji ze skałą, to ich szanse staną się pół na pół. Podróżnicy na tratwie to narody Księgi. Są trzy narody, lecz tylko jedna Księga! Dla nich to wszystko dzieje się po raz pierwszy.

Każdy na tratwie, skruszony, myśli o rzeczach ostatecznych, o rzeczach pierwszych i ostatnich. Nawet ci lepiej ubrani wyglądają teraz jak pokutnicy we włosiennicach. Znali ryzyko – chociaż agenci w Ulm ich uspokajali, wiedzieli, że co druga tratwa się rozbija, a o mnogich, którzy tędy płynęli, już nie było wieści. I ich tratwa, tratwa praojca Kempfa, teraz jest w rękach Boga. A ich szanse są niewielkie.

Podróżnicy mocno trzymają się ogrodzenia, o ile kilka patyków powtykanych w kłody można uznać za ogrodzenie, oraz starają się odmierzyć, ile jeszcze sekund zostało do głównego uderzenia, do chwili, w której tratwa jeszcze raz zakręci się w gardle największego wiru i być może rozbije się o skały. Każdy modli się do Ojca, tak jak został nauczony. Chasyd z długą brodą śpiewa psalm, mahometanin nie przestaje padać na swój dywan.

Tratwa przepłynęła.

Tratwa przepłynęła, bo gdyby się rozbiła, to ja bym się nie urodził i tej książki także by nie było. Co może nie byłoby aż takie złe.

Nie jest jasne, która modlitwa poskutkowała. Może Bogu się spodobało, że było ich tak wielu? A może poziom Dunaju od czasu wiosennych

roztopów okazał się wystarczająco wysoki? A może poziom Dunaju był wystarczająco niski, więc wir się uspokoił? Nie wierzę, że Bóg na wysokościach miał jakiś interes w moich narodzinach, przecież on jest ojciec dla mnogich.

Przy skałach Düppsteiner rzeczywiście zatopiły się nadzieje wielu. Bóg chyba nie znalazł w ofercie języków takiego, który mógłby zrozumieć bez słownika. Możliwe, że po prostu nie był to jego dzień. Bo chociaż Bóg jest poliglotą, to pewnego razu nawarzył przecież piwa wokół Babilonu. Nikt nie lubi grubych słowników.

Kapitan zaakceptował ryzyko, że na tratwę przeszmurował się grzesznik, który w oczach Boga nie może zostać uratowany. Przy czym kapitan wyeliminował siebie samego, mordercę i rozbójnika. Przecież on, kapitan, był jednocześnie i przedsiębiorcą, czyli opiekunem tratwy, a teraz przewoził kolorową grupę w większości biednych ludzi – kolonistów cesarskiej, którzy sprzedali wszystko, co posiadali, aby w ogóle dostać się na tratwę i chociaż spróbować zaryzykować. Zabrali to, co im zostało i co nadawało się do zabrania. Przykładowo ten Kempf – podrostek, który lata nauki miał za sobą, ale niczego nie skończył, teraz szukał tych, którym mógłby sprzedać swój fach. Podróżują żołnierze, najemnicy, żołdaci, pijaczyny – którzy też szukali kogoś, komu by mogli wcisnąć swój fach. Albo z mnóstwem ran na ciele, teraz atakowanych przez roje much. Można przypuszczać, że i kobiety, które znacząco nie obciążały tratwy, bo i tak wszyscy uznawali je za lekkie. Trzeba jeszcze dodać, że również kaznodzieja zdecydował się śledzić swoją małą społeczność.

Na tratwie praojca Kempfa żadnych kobiet nie było, co później okazało się problemem. A i księża pojawili się później.

Urzednicy monarchii, która wtedy jeszcze nie była podwójna, podróżowali w mniej ryzykowny sposób. W roku 1770, o którym

wspominamy, gdy śledzimy dramatyczne, ale i szczęśliwe przejście tratwy przy skałach Düppsteiner, James Watt dopiero zaprezentował swoją maszynę parową, czym zapoczątkował rewolucję w przemyśle. Rewolucja jednak postanowiła rozwinąć się w Anglii, a nie – w Niemczech. Lokomotywy nie ma nawet w planach, więc podróże po Europie odbywają się konno. Urzędnicy, klasy wyższe, szlachta – bez względu na to, w jakim języku odmawiają swoje *Ojczyznę* – nie podróżują tratwami po Dunaju. Szlachta luterańska nie odwiedza terenów znajdujących się pod panowaniem silnej cesarzowej. Szlachta habsburska i katolicka nie ma potrzeby podróżować – z wyjątkiem okresów, kiedy wojuje. W XVIII wieku żaden majętny podróżnik nie ryzykowałby spotkania ze skałami Düppsteiner.

A więc kapitan ma przed sobą ludzi, którzy z jednego niedostatku uciekają w drugi niedostatek, chociaż mają nadzieję na ratunek. W większości pochodzą z południowoniemieckich landów, czyli ze Szwabii, więc lokalni mieszkańcy wszystkich kolonistów nazywają Szwabami.

Rok 1769 był w Niemczech rokiem głodu. Może ludzie nie umierali masowo – w przeciwieństwie do Bengalu, gdzie zmarło dziesięć milionów dusz – była to jednak klęska wszech czasów. Aby nie umrzeć, należało uciec z Niemiec. Kierunek głodu był dokładnie odwrotny do tego z lat sześćdziesiątych zeszłego wieku, kiedy setki tysięcy ruszyły na saksy do Niemiec, często z terenów, które w XVIII wieku, w ramach reformy cesarzowej Teresy, kolonizowali niemieccy wieśniacy i rzemieślnicy.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, wszystko wróciło do wcześniejszego stanu. Dla kapitana było ważne, aby rozwinęła się sieć języków, w którą należało złapać miłosierdzie boże. To, że podróżnicy na tratwie byli tacy różni, traktował jako zaletę. Gdyby na tratwę wszedł chiński handlarz,

uważały to za dobry znak, niezależnie od tego, czy byłyby buddystą czy wyznawcą tego, co sam nazywał tao. Kapitanowi nie przeszkadzało, że na pokładzie tratwy chasyd przebywa w swoim roku – między 5350 a 5351. Każdy liczy i kuma po swojemu. Wszystkie wyliczenia chmarami wspinają się do nieba. A skały są coraz bliżej. Zielony wir staje się coraz bardziej wściekły i silny. Ryby czekają – tak jak dunajskie panny, tak jak wodny cesarz sum w swoim szklanym pałacu w głębinach. Na górze niewątpliwie panowała cesarzowa, ale tam, na dole, wejścia do podziemnego cesarstwa strzegli celnicy i inni. O tych ponętnych pannach, którym nie można się było oprzeć, niebezpiecznie nawet wspominać.

To wszystko staje się już *vorbei* – znikającą przeszłością. Kapitan ponownie jest ponury i niedostępny.

– Gdzie tak naprawdę jest ta Transylwania? – zapytał go kiedyś Kempf.

Kempf miał wrażenie, że kapitan nie dość, że okrutnie go olał, to jeszcze zaczął się z niego nabijać. Bo kto w miarę rozsądny decyduje się na podróż, jeżeli nie wie, dokąd zmierza?

Odpowiedź: dużo takich. Nawet i dziś.

Kempf więcej się nie odważył o cokolwiek pytać.

## ***Vukovar, Transylwania***

Podczas załadunku w Ulm werbownik cesarzowej powitał chłopaków, życzył im szczęścia i jako cel podróży ponownie wskazał Transylwanię. Konkrety mieli usłyszeć, gdy nadejdzie czas. W Wiedniu, gdzie rezyduje jaśnie cesarzowa, urzędnicy cesarzowej zapoznają ich ze szczegółami, które na razie muszą pozostać tajemnicą. Koszty przeprawy tratwą są pokryte, kapitan ma umowę z urzędem wiedeńskim, więc w jego interesie jest, aby wszystko przebiegało jak należy.



Jako że zima się w końcu poddała, noce bywały coraz cieplejsze. Mimo to Kempf nadal źle sypiał. Zazwyczaj owijał się pledem i przeszukiwał nieboskłon, tak jak w rodzinnej wsi, gdy kładł się na łące i oglądał gwiazdozbiory.

W nocy tratwa nie płynęła. Załoga chrapała na przemian. Wszyscy byli uzbrojeni i wszyscy, zgodnie z harmonogramem kapitana, trzymali wartę. Do tego stopnia robili to jednak niechlujnie, że Kempf często okazywał się jedyną osobą, która czuwała. Na każdy szmer między liliami wodnymi ścisnął pistolet skałkowy, który ojciec mu podarował. Wszystko wydawało mu się złowrogie.

Za dnia było inaczej. Mieszkańcy naddunajskich wsi i miasteczek serdecznie machali z brzegów i oferowali żywność. Niektórzy grali na długich nosach, ale był to żart w porównaniu z tą bezimienną, upiorną nocną głuszą.

Pewnego razu Kempf bardzo się przestraszył. Był przekonany, że atakuje ich wilcza wataha, ale była to tylko sarna, która przysła się napić wody. Tratwy, która wyglądała na opuszczoną, zwierzę nawet nie zauważyło.

Kempf miał teraz mnóstwo czasu. Dniami i nocami trapiły go coraz to nowe i nowe pytania.

Transylwania...?

W cesarskim biurze w Wiedniu wisiała na ścianie mapa Alexisa Jaillota z 1696 roku. Kolorowy miedzioryt. Na tej mapie widniała zielonkawa łąta, jakby zawieszona na jakimś sznurku do bielizny, a na tej łącie było napisane: *Transilvania*. Otaczał ją napis: *Valaqui que d'autres nemment Moldavie*, a dokładniej: „Wołoszczyzna, zwaną inaczej Mołdawią”, później – Ziemią Ruską. Na zachodzie stało: *Hongrie*, nieco niżej – *Sclavonie*, a jeszcze niżej – *Bosnie e Tourquie*.

W ramce z napisem *Sclavonie* znajdowały się dwie nazwy: *Vukovar* oraz *Ilok*.

Nazwę „Vukovar” usłyszał od Turka, dla którego był to ostatni przystanek. I to wszystko. Kempf nie miał żadnych sekretnych myśli ani o Wiedniu, ani tym bardziej o Transylwanii. Dotychczas nawet się nie ruszał ze swojej wsi. Wałkował w głowie to, co usłyszał od cesarskiego wysłannika. Nie miał pojęcia, że Transylwania to kraina, w której zachłanni szlachcice łakną krwi młodych kobiet, a wilki, które są tak ogromne jak woły, bez przerwy wyją – podczas pełni ten wilczy zew staje się nieznośny dla ludzkiego ucha.

Dla niego Transylwania była czymś znacznie gorszym, tak jak te noce nad Dunajem. Była anonimową groźbą, groźniejszą od wampirów, które tak chętnie wychodzą ze swoich trumien, podczas gdy zmarli leżą całkowicie spokojni.

Teraz Kempf spędzał wiele bezsennych godzin na niezakłóconym obserwowaniu nieba. Znał, jeszcze z domu, nazwy wielu gwiazd. Łatwo odnalazł Plejady, które wkrótce powiedzą jego rodzinie, że nadszedł czas orania. Na terenach pod Transylwanią mówiono na nie *Vlašići*, czego Kempf wkrótce się nauczy. Jeszcze nie ma pojęcia, że Plejady to rozkoszne koło Tytanów w brzuchu Byka, które weszło do prestiżowego katalogu gwiazd Meissera – właśnie w roku 1769, tak ważnym i dla Kempfa, i dla wielu innych, którzy wyruszyli w poszukiwaniu pracy. Kempf siedział wtedy na beczcze, owinięty swoją gunią, i nie wiedział, że całkiem niedawno odbyła się taka promocja.

Turek, handlarz dywanami, też by się zdziwił, gdyby o tym usłyszał... Nosił przy sobie katalogi srebra, a potem – rysunki dywanów. Pomysł, aby ktoś gwiazdy pakował do katalogu, był dla niego szalony, wart bezrobotnego galijskiego astronoma. Chasyd – zgodnie z nauką kabały –

gwiazdy uważał za boskie iskry jeszcze nienarodzonych istot. Dlatego fantastyczny sukces córek Tytana z nieba przeszedł na tej tratwie niezauważony.

Zapomnieli o skałach Düppsteiner. Teraz wszyscy przejęli się czymś innym: zbliżali się do granic cesarstwa w Wiedniu.

Przed wejściem do cesarstwa celnicy Marii Teresy zabierali luterańską Biblię. Niemiecki kolonizator mógł wprowadzić kota, psa lub krowę, nikt też go nie pytał o pieniądze. Urzędnicy cesarzowej zaopatrzyli go w niezbędne papiery, w prowiant i w niewielką, dokładnie wyliczoną kwotę, którą cesarska kancelaria uznała za koszt podróży. Celnicy wiedzieli, że biedny kolonista nie wniesie takiej ilości obcej waluty, która mogłaby zagrozić monetom cesarzowej. Koloniści wwozili samych siebie – gołą siłą roboczą i reprodukcyjną. Ale to, co mogli wwiesić w głowach, należało jednak trochę sprawdzić i – w zależności od oceny – przewietrzyć lub wyczyścić. Biblii tłumaczonej przez Lutra – tego zaczątku nowoczesnego idiomu niemieckiego – nie tolerowano w bagażach. Podróżnicy sami ją oddawali, nawet jeżeli byli luteranami, nawet jeżeli na ziemiach cesarstwa osiedlano ich za karę. A kto wie, ile Biblii zapłodnionych bezbożnym nasieniem luterańskim skończyło na dnie Dunaju.

Różnice – mile widziane na tratwie, która spieszy na spotkanie z pokusą – teraz stają się podejrzane. Podróżnicy zjednoczeni przed widmem śmierci teraz – w obliczu wątpliwości i podejrzeń – zaczynają się wynurzać jako indywidualności. Teraz odkrywają, że mają różne miejsca przeznaczenia, nawet jeżeli nazwy osad nic im nie mówią. Transylwania jest nazwą dla wszystkiego, co znajduje się obok lasów niemieckich. Odkrywają, że podróżują z różnymi „Dlaczego...?”.

Żyd znika w Wiedniu, tratwę opuszczają również inni. Towarzystwo nagle się uszczupliło, chociaż do końca drogi jeszcze daleko.

Powiedziano im, że jest wskazane, aby pilnowali tratwy. W porcie wiedeńskim już węższą cwaniacy wszelkiej maści, stukają w belki tratwy, mierzą ją, od razu widzisz, że ślina im cieknie. Chcą kupić tratwę, a jeżeli się nie uda, to ukraść. Urzędnicy cesarzowej opowiadają o wszystkich smutnych okolicznościach. Kapitan kiwa głową – on wie, gdzie przycumował tratwę, i wie, co kryje tak wielkie miasto jak Wiedeń. Przykładowo: mnóstwo karczm z Cyganami. W zasadzie są to domy publiczne. Kapitan i załoga udają się do jednej z nich, aby oddawać się uciechom – uważają, że po tak długiej podróży mają do tego prawo. Chociaż woleliby porządnie wypocząć – wyspać się, dobrze zjeść i zaspokoić inne żądze. Nie chce im się dalej podróżować. Dlatego z jednej strony dobrze by było, gdyby handlarze kupili tratwę – jeżeli nie jako narzędzie do podróży w górę rzeki i do męczenia biednych starych zwierząt, to chociaż do zbierania drewna na opał. Płynąć dalej w dół rzeki oznaczało płynąć w coraz większą nędzę i w coraz większą biedę, coraz bardziej się narażać na ataki złoczyńców. Bandytów i w Wiedniu jest pod dostatkiem.

Urzędnicy cesarzowej wiedzą o tym, więc na tratwę wysyłają dwóch żołnierzy, którzy mają tam nocować. Pozostali podróżnicy również decydują się pełnić wartę, ponieważ się obawiają, że jedna para oczu w nocy to za mało. Kempf, który i tak nie mógł spać, swoje pierwsze wiedeńskie noce spędził na beczce, owinięty w gunię, z pistoletem w ręce. Jeden ze służących Turka także, zgodnie z zatwierdzonym harmonogramem, pełnił wartę, podczas gdy jego gospodarz chrapał w swoim kąciku.

Świnka, którą na czas podróży zagonił do kąta, już Kempfowi nie zakłócała mu spokoju – załoga dawno temu obróciła ją na rożnie.

Ludzie śmierdzieli, bo woda wciąż jeszcze była za zimna, aby ktokolwiek odważył się w niej wykąpać. Ale w XVIII wieku łatwiej było to znosić. Człowiek śmierdział przez większą część swojej historii.

Kempf siedział na przodzie tratwy niczym mumia. Słuchał nocnego życia stolicy cesarzowej i patrzył, jak Wiedeń błyszczy, jakby był oświetlony łuskami ryb służących cesarzowi na dnie rzeki. Słuchał pisków kobiet, zawodzenia skrzypiec, krzyków mężczyzn, strzałów z pistoletów. Gdzieś wybuchaly pożary. Nocne życie Wiednia było pełne niebezpieczeństw.

„Co to jest Vukovar?” – zastanawiał się. Bo cesarscy urzędnicy tutaj, w Wiedniu, w końcu zdradzili mu ostateczny cel jego odysei. Turkowi widocznie było miło, że zostają razem do końca podróży Dunajem.

### ***Praojciec Kempf schodzi na ziemię Sclavonii***

Czy te ziemie są chronione przed Turkami? Czy książę Eugeniusz Sabaudzki wystarczająco ich dobił? Czy na miejscu ludzie mówią po niemiecku? A jakiej są wiary? Co jedzą? Czy mają dzieci? Czy mahometanie gwałcą na każdym kroku? Nawet staruszki i kobyły? Jaka jest ziemia? Czy naprawdę tak czarna i żyzna, jak czarowali ci, którzy muzyką na fletach, w gruncie rzeczy przeznaczoną dla szczurów i dla dzieci, zwabili ich na tę tratwę?

Kiedy Kempf ten jeden jedyny raz odważył się ponurego kapitana zapytać o Transylwanię, ten wskazał palcem podróżnika owiniętego w wełniany koc. Wszyscy na tratwie sądzili, że jest chory, ponieważ bez przerwy drzemał lub gadał coś pod nosem w jakimś półśnie.

– Ten niech ci powie. On tam był, ale wrócił do Ulm. Nikt nie wie dlaczego, bo jak na razie stamtąd nikt nie wraca. Zdradził mi, że ma jakąś wiadomość, ale jaką i dla kogo, nie powiedział.

Od tego jegomościa niczego jednak nie można było wyciągnąć. Co prawda mówił po niemiecku – i całkiem pewne, bo zdradzały to ruchy oczu, rozumiał też po polsku – ale potrafił w połowie rozmowy zacząć patrzeć w bok, a potem – zamilknąć.

Wszyscy uważali, że ten pasażer opalony słońcem, który się wycofał, pełen podniosłego spokoju weterana, i tak nie mógłby im wyjaśnić, „co *tam* na nich czeka”. Gdy ani podstępem, ani butelką wina, ani słoninką nie udało się wyciągnąć nawet najdrobniejszej informacji, koloniści się poddali. Na tego niemowę już nikt nie patrzył, a tym bardziej nikt już o nic nie pytał.

A on z tego korzystał. Nocą, gdy wszyscy spali, a księżyc posrebrzał cały rzekę, obcy wyciągał coś z ubrania. Kapitan, który potajemnie go podglądał, odkrył jego tajemnicę, ale pozostał wobec niej obojętny.

Z równie głębokim szacunkiem, z jakim naród czci swoich bożków, milczący pasażer unosił do oczu trzy bulwy ziemniaków, jakby w świetle księżycy wznosił ofiarę.

I Kempf go przydybał. Przecież on także nie mógł spać.

Człowiek wiezie bulwy do Transylwanii i ukrywa je jak największy skarb?! We wsi Kempfa kiedyś też kombinowali z ziemniakami. Powiedziano im, że ładnie kwitną. Plony nie były jednak zachęcające. Oświecona władczyni w Wiedniu wiedziała jednak lepiej, więc po kartoflach spodziewała się znacznie więcej. Koloniści przywozili jej ziemniaki.

Kempf jeszcze od dwóch tygodni nie jest w drodze, a już zobaczył wiele cudów. Dziwny jest ten świat.

Przykładowo: Vukovar. „Gdzie to jest?!” – szeptał Kempf, gdy wiosną 1770 roku tratwa spokojnie płynęła po Dunaju do Sclavonii<sup>3</sup>. Uważa się, że to ziemie pełne wilków. Gdyby wtedy istniały bedekery, na pewno wspominałyby o wilkach. Ale miało minąć jeszcze sto i pięćdziesiąt lat, zanim pojawiły się pierwsze przewodniki.

Milczący nieznajomy niczego im nie powiedział. Może to i lepiej, bo historia o wilkach zostałaaby jeszcze uznana za kłamstwo. Tak jak opowieści o malarii.

Pewnego dnia, po tym jak Kempf zaczął odliczać czas do końca podróży, kapitan otworzył butelkę wina. Wszyscy wzniesli toast za Dunaj, który wślizgnął się do Sclavonii. A potem, na część tego znamienego wydarzenia, wszyscy razem sikali z tratwy do rzeki.

Kempf był bardzo zmęczony, gdy tratwa w końcu dobiła do brzegu w Vukovarze. W przystani nie było prawie nikogo ani niczego, a gdzie jakieś fajerwerki. Praojciec Kempf nie poczuł potrzeby, aby rozwinąć sztandar i wbić go w ziemię. Zresztą, tę ziemię już zajęto – rękę na niej położyła oświecona cesarzowa.

Pierwszą noc w nowej ojczyźnie Kempf spędził w lepiance nie większej niż tratwa. Przedtem jednak uroczyście pożegnał Turka i jego służących. Zaklinali się, że jeszcze kiedyś się zobaczą.

Minęły trzy dni, zanim urzędnik cesarzowej wskazał kawałek ziemi, na którym Kempf będzie mógł zacząć budować dom. Co więcej – o dziwo! – dom był narysowany na skrawku papieru. Potem ludzie, których języka nie rozumiał i którzy nie patrzyli zbyt przyjaźnie, przywieźli trochę desek i innych materiałów. Widocznie ktoś im za to zapłacił. Ale udało mu się znaleźć też takich, którzy rozumieli jego język i byli chętni pomóc bez zapłaty.

Jedni rzucali więc na niego zażarte spojrzenia, drudzy przychodzili jak starzy znajomi i pytali o wiadomości z niemieckich ziem. I jedni, i drudzy są poddanymi mądrej cesarzowej.

„Nie żądajcie zbyt wysokiego poziomu kultury i oświecenia od ludzi, których losem jest należeć do niższej warstwy społecznej. Nie starajcie się naciągać ich intelektu, bo to ich doprowadzi do zrozumienia ich stanu, a wtedy z oburzeniem zaczną wykonywać prace, które ze względu na potrzeby i na swoje położenie muszą wykonywać” – *also sprach die Kaiserin*<sup>4</sup>.

### ***Pramatka Kempf w drodze***

A więc czeladnicy zaczęli budować domy na podstawie wiedeńskich rysunków. Zdążyli nawet obsiać ziemię wokół domu – zgodnie z położeniem Plejad. Ani pług, ani woły jeszcze nie dotarły. Tubylcy nie chcieli pożyczać swoich pługów, podawali różne powody. W pierwszym roku nowi koloniści nie zbiorą więc prawie żadnych plonów. Będą zmuszeni kupować po wygórowanych cenach od okolicznych mieszkańców.

W czym tkwił główny problem tych, którzy już tu byli, jak twierdzą, od zawsze? Czy wszyscy wyrosli z okolicznych pól, jak zboże, jak groszek?

Główny problem tkwił w tym, że wiedeńskie biuro przewidywało coraz to nowe wycinki. Pola, które były przeznaczone dla niemieckich kolonistów, znajdowały się pod lasami. I to pod jakimi lasami...! Zimą na pewną królują tutaj wilki.

Właściwie wciąż odnawiał się prastary konflikt, który został opisany również w Biblii. Ten między pasterzami, którzy żyją jak nomadowie i chcą wolnego wypasu i nietkniętych lasów, a rolnikami, którzy nie chcą, aby po



ich polach deptały bydlęce kopyta. Ci pierwsi są gotowi bronić pastwisk nawet przy użyciu broni, ponieważ żyją jak stare plemiona wędrownie. Ci drudzy natomiast budują domy, więc chcą pól uprawnych i uprawnej ziemi wokół domów. A także winnic – tam, gdzie mieszkają na stałe. W końcu to Kain zamordował Abła, a dopiero potem założył miasto.

Już siódmego dnia po tym, jak Kempf wysiadł w Vukovarze, doszło do pierwszego zabójstwa.

Abel zemścił się na Kainie. Koloniści zażądali broni – i dostali ją z biura w Wiedniu. Od pierwszej nocy w „Transylwanii” Kempf śpi z pistoletem pod poduszką.

Sytuacja uspokaja się dopiero wtedy, gdy do Vukovaru dociera regiment, uzbrojony po zęby.

Wilków Kempf jeszcze nie widział, chyba trzeba poczekać na zimę.

Z tego wszystkiego pierwszej zimy osadnicy będą tak samo głodować jak w Niemczech. Co prawda, już nie ma Turków, ale pozostały po nich łaźnie i spalone meczety. Wiele wsi jest całkowicie wyludnionych.

Dzień przed ucieczką do Ulm praojciec Kempf powiedział werbownikowi cesarzowej, że za żadne pieniądze nie chce wprowadzić się do domu, w którym wcześniej ktoś mieszkał. Cieszy się na myśl o całkowicie nowym początku i że z tego względu dostanie zaproszenie od silnej władczyni. Urzędnik obiecał, że urząd w Wiedniu postara się spełnić jego życzenie, chociaż jest ono przede wszystkim dziwne – w tej części świata opuszczone wsie są zamieszkiwane przez tych, którzy ciągną się ogonem za zwycięskim wojskiem. „Twoja prośba wynika ze zwykłych przesądów!” – oponował werbownik. Ale prośbę przekazał do Wiednia, nie chciał z powodu przesądu stracić jednej duszy.

Aby nie było: koloniści nie budują domów, tylko – twierdze. Do tego człowiek może się przyzwyczaić. Lepiej jednak dogadać się z czarnym

diabłem, a cóż dopiero – z hodowcami bydła, skoro przybysze zamierzają na stałe tutaj zamieszkać, niż drzeć ze strachu o życie czy o dobytek. Nie można wiecznie wojować. Rolnicy są w sumie pokojowo nastawionymi ludźmi. Mnóstwo tutaj ugoru, więc niedobrze byłoby sztucznie wywoływać konflikty – nawet z Wołochami, którzy swego czasu trzymali z Turkami, nawet z martolosami<sup>5</sup>, którzy dla Turków byli żołnierzami.

Kempf często wychodził na długie spacery po okolicy, mimo że mu odradzano. Wiedział, jak rozkoszować się tą równiną. Widział sporo dobrych dróg zbudowanych na wałach po starych szlakach rzymskich. Są tutaj również bagna, których opary uważa za zgubne.

Bocian uniósł dziób, aby żaba szybciej wpadła do żołądka. Łażni i meczetów Kempf nie widział w Niemczech, ale bociana oglądał wielokrotnie. I wydaje się, że ptak, który właśnie przechadza się po brzegu bagniska, to nie bocian, tylko – czapla. No i proszę: nie ma wilków, nie ma lwów, nie ma wilkołaków, ale są czaple. Ta czapla to dopiero strojnisia!<sup>6</sup>.

Oprócz śladów władzy tureckiej wszystko tutaj jest jak w Bawarii – poza ziemią, bardziej płaską i chyba bardziej urodzajną.

Kempf zaczyna jednak odczuwać pewien niedostatek, który jest gorszy nawet od głodu: tutaj prawie nie ma wolnych kobiet. Gdy jesteś głodny, zawsze jakoś wyjdiesz na prostą, zawsze coś się we wsi znajdzie. Ale gdzie znaleźć kobietę?! Gdy jesteś bardzo głodny, z drzewa zerwiesz jabłko, które na nim zostało. Ale kobiet nikt na gałęziach nie zostawia!

„Wyślijcie nam kobiety!” – taką wiadomość koloniści, a więc i Kempf, przekazali niemieckim landom za pośrednictwem urzędu wiedeńskiego. Urząd wykazał zrozumienie dla ich potrzeb. Bez kobiet nie można żyć, tak jak żyć nie można bez bydła.

Konie kiedyś dotrą, ale kobiety...? Nie wiem, jak podobny niedostatek rozwiązywali greccy koloniści. Być może spółkowali z miejscowymi

kobietami, a gdy ich zabrakło, kto wie, może nawet z klaczami...? Czy przypadkiem nie jest to klucz, który by wyjaśniał pojawienie się rodu centaurów...?

Gdzie są osady i karczmy, tam są nierządnice. W ogonie regimentu doczołgało ich się kilka, bo one zawsze kręcą się koło wojska. Ale nierządnice się nie liczą w równaniu niedostatków, więc istnieje jedna wielka niewiadoma: kobieta i matka. Kobyła i pochwa. Erotyczna fantazja jaśnie cesarzowej – Marii Teresy Walburgi Amalii Christiny von Habsburg.

I faktycznie – w Sclavonii nie mają żadnych punktów styczności, bo to są dwa całkowicie odmienne rodzaje niedostatków. Pierwszy z nich możemy nazwać zabawnym, natomiast drugi musimy uznać za egzystencjalny. Pierwszy niedostatek wyżyje się w buduarze cesarzowej podczas zabawy na jeźdźca na ogierze o imieniu Trenk<sup>Z</sup>, podczas gdy ten drugi niedostatek jest pytaniem o przeżycie kolonii, a potem – i samych kolonistów.

Stąd tę niewiadomą w wypowiedzianym równaniu należy za wszelką cenę rozwiązać. I to rozwiązać w ten sam sposób, w jaki rozwiązano równanie głodu – złożeniem księżycowemu bóstwu ofiary z trzech ziemniaków. Luna jest boginią, więc chętniej niż ziemniaki będzie oglądać kolorową i rozśpiewaną gromadę dziewczyn z południowoniemieckich ziem – ich różnokolorowe sukienki pokryły pokład belek, z których zbudowano tratwę.

Gramatyka nie była mocną stroną praojca Kempfa. I chociaż w liście wysłanym do Niemiec nie owijał w bawełnę, tylko wyrażał się bardzo jasno, z powodu niewielkiej objętości było w nim niewiele błędów. List sprowadzał się właściwie do krzyku: „Wyślijcie *Frauen!*”. A gdy już nic więcej nie przyszło mu do głowy – a głupie mu się wydawało, aby rodzinę,

która przebywa tak daleko, informować, jaką pogodę tutaj mają – praojciec Kempf narysował figurę kobiety. Według swojego zamysłu.

No i proszę, dotarliśmy do tego miejsca: Niemcy właśnie wysyłają kontyngent panien na wydaniu. W Sławonii, dokąd zmierzają, będą na nie mówić *snaše*<sup>8</sup>. I to jest weselsza podróż, a na pewno znacznie weselsza tratwa niż ta, na której płynął praojciec Kempf. Słysząc akordeon do wtóru kobiecego chichrania, które rozchmurza i załogę, i kapitana, i ludzi wszelakiego pokroju. Nawet kapitan jest bardziej rozmowny niż ten, który płynął z Kempfem. Poza tym okazał się słownym człowiekiem – urząd wiedział, komu powierzyć skarb, aby ten został nietknięty (przynajmniej co do zasady).

Skały Düppsteiner znowu wymagają szacunku i milczenia, więc pieśni ustają, akordeon zostaje złożony, a wiosła – wciągnięte. Coś nabrzmiało pod ciężkim i mokrym suknem załogi i kapitana. Dziewczyny się modlą, tak jak w kościołach katolickich modlą się do Marii, śpiewają psalmy, tak jak się śpiewa w katedrach. W tej podróży nie ma nierządnic, bo ten, kto zorganizował podróż, zadbał o moralność swojego towaru. Potencjalne zaraźliwe egzemplarze zostały wykluczone. Jest oczywiste, że nie ma Żydówek ani Turczynek. Agent tratwy gwarantuje, że dziewczyny zostaną dostarczone w takim stanie, w jakim były na początku podróży, a więc pod żadnym pozorem bez jakiegokolwiek uszczerbku.

Skały Düppsteiner wciąż stanowią mniejsze niebezpieczeństwo w porównaniu z zagrożeniami, które w tak długiej podróży gdzieś w połowie XVIII wieku czyhają na honor kobiet. Dlatego agent tratwy – a wszystko z pieniędzy kolonistów, którzy już dotarli do Sławonii – zapłaci za ochronę trzem twardym młodzieńcom, którzy przyrzekli, że honoru dziewcząt będą strzec przed każdym napaleńcem, ba, nawet przed samą załogą.

To ostatnie było najtrudniejsze między innymi ze względu na warunki sanitarne panujące na tratwie. Trzech bodyguardów strzegło honoru rozśpiewanych panien, a one w zamian chroniły ich przed urokiem dunajskich syren i nimf, które na dno rzeki zaciągnęły niejednego fauna.

Człowiek marzy, Bóg postanawia, a na końcu i tak decyduje kupidyn, który z zawiązanymi oczami strzela z łuku: ci trzej młodzieńcy znajdą na tratwie kobiety swojego życia – chociaż jeszcze o tym nie wiedzą. W dół rzeki płyną pierwszy, a zarazem ostatni raz.

Zadaniem młodzieńców było chronić kobiety przed napastnikami, ale o ochronie przed miłością nie było mowy w umowach z ajentem. Uznajmy to za triumf siły wyższej.

Po wszystkich problemach i niebezpieczeństwach tratwa z pannami na wydaniu za chwilę dotrze do Vukovaru.

– Już są! Już są! – krzyczą dzieci, które tratwę zauważają na jednym z wcześniejszych zakrętów. Biegają teraz brzegiem razem z nią. – Już są! Już są Szwabki!

Tym razem w przystani gra muzyka regimentu. Czeladnicy, chłopci, rzemieślnicy – wszyscy założyli to, co mieli najlepszego.

Z niewielkiego wzgórza tę scenę obserwuje ksiądz. Mądra cesarzowa patentami uregulowała, że na każde trzy wsie ma być po jednym księdzu oraz po jednym lekarzu. Jeżeli chodzi o tego drugiego, to jest lepiej niż dzisiaj.

Tratwa cumuje, wąski pomost zostaje rzucony na brzeg. Gra powitalna muzyka. Ktoś – rozbawiony – strzela z pistoletu. Ponownie rozbrzmiewają powitalne dźwięki, po czym zaczyna się szaleńcze bębnienie. Panny przechodzą po pomoście i schodzą na ląd.

Młodzieńcy patrzą z brzegu. Kilku z nich ma lornetki, które są teraz w cenie, ale nikomu ich nie pożyczają.

Jest też mój praojciec o nazwisku Kempf. Przez lunetę po raz pierwszy widzi moją pramatkę. Posapuje, bo nie jest to dziewczyna z jego wsi, do której dawno temu wysłali dziewosłęba.

Panna Theresia – o lekko zarumienionych policzkach i w szerokiej sukni, która bez problemu mogłaby ją unieść nad ziemią jak balon – niepewnie łapie równowagę na wąskim pomoście między wczoraj a jutro. Musi przytrzymać suknię, pod którą ciśnie się wiele podszewek. Nagle praojciec Kempf w lunecie rejestruje białą podwiązkę na czerwonej pończosze. Tego było już za dużo – został pokonany.

Theresia, moja prababcia, wdzięcznie skacze na brzeg niczym dafnia z lilii wodnej na lilię. Tego samego wieczoru wesele zostało zaaranżowane.

U Kempfów istniała tradycja, tak jak i u innych rodzin i rodów, że imiona przechodzą z dziadka na syna. Tak więc imię prababci wędrowało z pokolenia na pokolenie, ominęło tylko jedną generację. Potrzeba było stu lat, aby Theresia stała się Terezą, i następnych pięćdziesięciu, aby stała się Rezą, Reziką<sup>9</sup>. Jeszcze więcej czasu było potrzeba, aby z imienia Georg powstało Ęuro, a potem – Ęuka. Tak jak się nazywał mój ojciec – Ęuka Kempf<sup>10</sup>.

Kempfowie przeżyli. Zostali w nowej ojczyźnie. W latach trzydziestych zeszłego wieku stali się folksdojczami – etnicznymi Niemcami mieszkającymi poza Reichem. Nie była to obietnica szczęścia.

Na cmentarzu w Peczu<sup>11</sup>, który leży niedaleko Vukovaru i który w czasach przybycia Kempfów do Slawonii był częścią tego samego świata, do dzisiaj widnieje niemiecka inskrypcja:

*Dla tych pierwszych – śmierć,*

*Dla drugich – konieczność,  
Dla trzecich – chleb.*

Życie<sup>12</sup> rymowało się z *Tod* („śmierć”), *Not* („konieczność”) i *Brot* („chleb”).

Praojciec Kempf miał jednak trochę szczęścia.

*Dalsza część w wersji pełnej*

## ***Spis treści***

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Wstęp do wydania polskiego](#)

### [I. Transylwania](#)

[Kolorowy flecista z Hameln](#)

[Werbownik cesarzowej](#)

[Praojciec Kempf płynie do Transylwanii](#)

[Vukovar, Transylwania](#)

[Praojciec Kempf schodzi na ziemię Sclavonii](#)

[Pramatka Kempf w drodze](#)

### II. Folksdojcz Kempf

Epidemia wszawicy

Korzo19, 1941

Kim jestem?

Co zabrać na wojnę

List do Franji Laubera na Wschód

Do martwych

Drugi list do Franji Laubera na Wschód

Polonia

Próba ognia i wody

Stara Gradiška...

Sofija

Dobrodziejstwo ziemniaków

Dwugłowy las

Patrol



Getto  
Operacja „Weiss”  
W lazarecie  
Ania Sadowska  
Dukaty  
Biały balet  
Guz na odbytnicy świata  
Przez rzekę i do lasu  
Kraj mrówek  
Ojciec chrzestny  
Koty  
Czas miedzi  
Treblinka  
Odbudowa świata  
Ściągaj spodnie!  
Błogosławiony owoc żywota twego...  
Dokąd i gdzie  
Jezioro łabędzie z psem  
U bolszewików  
Wojna i pokój  
Dywersanci  
Żaba  
Zwycięstwo  
Znikający pociąg  
Dom lalek  
Anabaza Georga Kempfa

III. Rewolucja czasu miedzi

Rozmowy martwych

Czarna Kość  
Zgodnie z kierunkiem wiatru  
Egzekucja  
W czterech ścianach  
Rozmowy w łóżku  
Pierwsza pięciolatka  
Ernst Thälmann, daleki towarzysz  
Jezioro łabędzie bez psa  
Pchła  
Bumażka  
Milczący towarzysz  
Trzeba wierzyć!  
Niezgodność charakterów  
Rozwód  
Drang nach Westen120  
Żółty mercedes  
Opieka  
Lata głodu  
Spotkanie z młodością  
Niemcy się odzywają  
Pierwsza miłość  
Życie toczy się dalej...  
Znamię Kaina  
Tylko żeby nie bili!  
Przedśmiertne sny Very Kempf  
Strategia wyjściowa Georga Kempfa  
Pożegnanie i powitanie

Wybrane źródła

Karta redakcyjna

Dotychczas w ramach serii wydawniczej *Wschodni Express* ukazały się

Przypisy

Lublin 2024, wydanie pierwsze

ISBN 978-83-68178-30-2

Redaktorzy serii / Andrij Saweneć, Aleksandra Zińczuk

Redakcja / Elżbieta Sokołowska

Korekta / Tomasz Karpowicz, Elżbieta Sokołowska

Korekta techniczna / Tomasz Karpowicz, Elżbieta Sokołowska, Mirela

Werner

Koordinacja / Przemysław Głuchowski

Projekt okładki / Ewelina Kruszewska

Projekt typograficzny serii / kolektyw kilku.com

Złożono pismem Skolar (proj. David Březina)

© 2015 Slobodan Šnajder

© 2024 Siniša Kasumović / translation

© 2024 Warsztaty Kultury w Lublinie / Polish edition

Książka została opublikowana w ramach wsparcia finansowego

Ministerstwa Kultury i Mediów Republiki Chorwacji

Kontakt / Warsztaty Kultury w Lublinie

ul. Grodzka 5a, 20-112 Lublin

[warsztatykultury.pl](http://warsztatykultury.pl), +48 81 533 08 18

sekretariat@warsztatykultury.pl



**WYDAWNICTWO  
WARSZTATY KULTURY**

**Lublin** ®  
MIASTO INSPIRACJI

Republika  
Hrvatska  
Ministarstvo  
kulture  
i medija  
Republic  
of Croatia  
Ministry  
of Culture  
and Media



 **INSTYTUCJA  
KULTURY  
MIASTA LUBLIN**

**kultura  
enter**

**WSCHOD  
KULTURY**

 **Inne Brzmienia  
Art'n'Music Festival**

**WSCHODNI  
EXPRESS**

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotował Jan Żaborowski

***Dotychczas w ramach serii wydawniczej Wschodni Express ukazały się:***

*Barykady na Krzyżu* (2014) – Jurko Gudź

*50 procent racji* (2016) – Ołeksandr Bojczenko

*Karbid* (2016) – Andrij Lubka

*Nogami do przodu* (2017) – Andrij Bondar

*Dzień poezji śmierci dzień* (2017) – Andrej Adamowicz

*Tłuścioch i leszcz* (2017) – Andrej Adamowicz

*Mały leksykon medyczny wg Bacharewicza* (2017) – Alhierd Bacharewicz

*Szczęśliwi nadzy ludzie* (2017) – Kateryna Babkina

*Pokój do smutku* (2018) – Andrij Lubka

*Sonia* (2018) – Kateryna Babkina

*Wakacje nad Letą* (2018) – Hałyna Kruk

*Cyrk i inne wiersze* (2018) – Julia Cimafiejewa

*Wasi, nasi oraz inni* (2018) – Ołeksandr Bojczenko

*Poprzednie życie* (2018) – Mykoła Riabczuk

*Punkt zerowy* (2019) – Artem Czech

*Frau Müller nie zamierza płacić więcej* (2019) – Natalka Śniadanko

*Wieczne słońce* (2019) – Wasyl Słapczuk

*Obrazki litewskie* (2019) – Herkus Kunčius

*Żywoty* (2019) – Ołeh Sencow

*Worochtarium* (2019) – Jurij Andruchowycz, Ołeksandr Bojczenko, Orest Drul

*Dzielnica D* (2020) – Artem Czech

*Patriotyzm dla opornych* (2020) – Kim Chun Ho alias Siarhiej Pryłucki

*Marketer* (2020) – Ołeh Sencow

*Riki i drogi* (2020) – Mark Liwin

*Wszystkie ptaki, co we mnie...* (2020) – Antologia współczesnej poezji łotewskiej

*Twoje spojrzenie, Cio-Cio-San* (2020) – Andrij Lubka

*Nikt tak nie tańczył jak mój dziadek* (2020) – Kateryna Babkina

*Tu mieszkał Jonasz* (2021) – Marius Burokas

*Wilk Jedno Oko* (2021) – Juris Kronbergs

*Porucznik Piatrowicz i chorąży Duch* – Uładzimier Arłou

*Szatański pomiot* (2021) – Zoltán Mihály Nagy

*Ten sam kurz drogi* (2021) – Wasyl Słapczuk

*KGB i inne wiersze* (2022) – Igor Pomierancew

*Lustrzany sześcian* (2022) – Łeś Belej

*Ostatni pocałunek Iljicza* (2022) – Wano Krueger

*Klara. Bande dessinée* (2022) – Agnė Žagrakalytė

*Planeta pożeraczy serc* (2023) – Kristiina Ehin

*osobista pustka* (2023) – Aušra Kaziliūnaitė

*Insekt* (2023) – Lena Kudajewa, Oksana Sawczenko, Polina Położencewa

*Zawartość męskiej kieszeni* (2024) – Ołeh Kocarew

*Charków 1938* (2024) – Ołeksandr Irwaneć

*Najprzyjemniejsza chwila dnia* (2024) – Piret Raud

*Zdradzeni, wyklęci, oczernieni* (2024) – Herkus Kunčius

*Autoportret w postaci pestki awokado* (2024) – Julia Cimafiejewa

**Zapraszamy na stronę wydawnictwa:**

**[wydawnictwo.warsztatykultury.pl](http://wydawnictwo.warsztatykultury.pl)**

## Przypisy

1 Swat. Wszystkie przypisy, jeżeli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumacza.

2 Opłata pobierana przez rząd, przeznaczona na utrzymanie dróg.

3 Archaiczna nazwa Sławonii.

4 „Tako rzecze cesarzowa”.

5 *Martoloz* (serb., chorw.) – paramilitarne formacje podczas panowania osmańskiego, które składały się z lokalnej ludności chrześcijańskiej. Istniały od XV do XVIII wieku. Początkowo ochraniały granice imperium. Od połowy XVI wieku martolosi byli traktowani bardziej jako pewnego rodzaju wewnętrzna policja.

6 *Ardea: capite laevi, fronte e collo supra, infraque sordide albo, testaceo, nigroque longitudinaliter litturato, e pennis ex sordide albo in dilute testaceum Wiergentibus, nigro marginatis* („Czapla: głowa – gładka, czoło i szyja, na górze i na dole – brudnobiała, czerwono i czarno pociągnięta po długości, z piórami, które mienia się od brudnobiałego do rozlanego ceglanego, czerwonego, na brzegach – czarnego”). Fragment pochodzi z dziennika podróży po Sławonii z 1782 roku. Kempfa w ogóle nie interesuje ornitologia. Dołączam ten opis tylko z powodu piękna martwego języka w opisie życia. Jako taki jest on w tym miejscu całkowicie zbędny. W liście, który Kempf wkrótce wysłał do swojej rodzinnej wsi, nie ma mowy o czapli. Nawet praojciec Noe nie interesował się detalami. Dla niego było ważne tylko tyle, aby załadunek odbył się w parach (przyp. autora).

7 Baron Trenk był – według legendy – kochankiem cesarzowej.

8 Młode, niezamężne kobiety.

9 Odpowiednikiem niemieckiego imienia Theresia jest Tereza (chor.), czyli Teresa (pol.). Zdrobnienia możemy przetłumaczyć jako: Reza – Terka, Rezika – Tesia.

10 Niemiecki Georg to Ęuro (chor.), czyli Jerzy (pol.). Ęuka to odpowiednik zdrobnień: Jurek, Jureczek.

11 Pécs (węg.) – miasto w południowych Węgrzech.

12 *Život* (chor.).





WARSZTATY KULTURY

